Incydent w Workucie

Ken Macleod

tłum. Jacek Wolski

1. Macki i Tomy

Działo się to w roku 19.., tym niezapomnianym roku, gdy uwierzyłem po raz pierwszy, że odkryłem przyczynę winy i wstydu, która w oczywisty sposób obciążała Dra David Rigley Walkera, Profesor Emeritus, na katedrze Zoologii Uniwersytetu w G...... . Okazja była wystarczająco zwyczajna. Kurs zaawansowanej zoologii zawierał elementy filozoficzne i historyczne nauki. Otrzymałem zadanie napisania eseju o historii naszego przedmiotu, ze specjalnym odniesieniem się do wówczas jeszcze nie odrzuconego pojęcia dziedziczenia nabytej cechy. Większość z moich kolegów, z bardziej praktycznie wytrenowanymi umysłami niż mój, była skłonna potraktować to jako nieistotną robotę. Nie ja.

Z arogancją młodości, wierzyłem, że nasz przedmiot, zoologia, miał szansę zasymilować znacznie szersze pole wiedzy niż obecna praktyka niż wykład był skłonny założyć. Czyż człowiek nie jest zwierzęciem? Jeżeli tak, zatem, czy wszystko co ludzkie, z zasady, jest przedmiotem zoologii? Takie, przynajmniej, było moje rozumowanie wówczas, a także moja wymówka dla szerszych i, obecnie przypominam sobie, mniej korzystnych lektur. Pewne ostatnie głośne i dochodowe pozycje popularyzacyjne, jak znane badania zachowań seksualnych i społecznych, prowadzonych przez, z wszystkich osób, entomologów, były w moim rozumieniu tylko błyskiem imperium myśli otwartym dla zoologów. W tych dniach dyscypliny takie jak psychologia ewolucyjna, medycyna darwinowska i ekonomia ekologiczna ciągle walczyły w rozbitych i zepsutych skorupkach ich intelektualnych, a, co ważniejsze, militarnie pokonanych przodkach. Wielka porażka sądu z połowy wieku na tej i innych kwestiach ciągle drzemała w trzewiach przyszłości. To były, jeżeli mogę zauważyć, dziwne czasy, chwile burzliwego przejścia, gdy doktryny cząstkowe już powstały, ale zanim stały się podstawą biologii. W umysłach starszych nauczycieli i na stronach przestarzałych podręcznikach określone pytania, teraz niezaprzeczalne, wydawały się oryginalne i niewypróbowane. Duch witalizmu[1]ciągle przechadzał się po salach wykładowych. Tektonika płyty była stałym gruntem przeważnie dla geologów. Pojęcia międzykontynentalnych mostów, a nawet baśniowej Lemurii[2], nie były razem rozpędzone jako warte przynajmniej poważnego odprawienia. Ubolewałem, nie, brzydziłem się takich dziwactw.

Także z pewnym zapałem, muszę wyznać, rozpocząłem lektury dla mojej niepozornej kompozycji. Wszedłem do biblioteki uniwersyteckiej w południe, schodami na piętro nauki i przez dobre pięć godzin albo przeglądałem stosy albo wynotowywałem wyniki. Inaczej niż moi koledzy, nie byłem dotknięty nałogiem nikotyny i mogłem działać bez przerwy na sprawy natury. Zagłębiałem się w samego Lamarcka[3], w rozwlekłym tłumaczeniu wiktoriańskim, w następujące wydania *O powstawaniu gatunków*[4], oraz w

1 https://pl.wikipedia.org/wiki/Witalizm
2 https://pl.wikipedia.org/wiki/Lemuria_(fikcyjna_kraina)
3 https://pl.wikipedia.org/wiki/Jean-Baptiste_de_Lamarck
4 https://pl.wikipedia.org/wiki/O_powstawaniu_gatunk%C3%B3w

Przegląd Historii Biologii. Napotkałem już książkę Koestlera "Przypadek Pętówki Iberyjskiej[5], tego niszczycielskiego, ale pełnego skruchy obalenia roszczeń kolegi biologa, oszusta i samobójcy Viktora Kammerera. Książka ta, w zniszczonej miękkiej okładcie, była tajnym klasykiem pośród studentów zoologii, razem z Supernature Lyalla Watsona[6]. Czytałem i notowałem z pasją, by skompromitować, na dobre i na zawsze, dawnoobalone hipotezy, które były przedmiotem mojego eseju. Ale gdy skończyłem notatki i szkic, i esej był prawie napisany, potrzebował tylko pewnych akapitów i rozsądnego przepisania, zaczęło mi dokuczać poczucie, że zadanie nie było skończone.

Oparłem się w plastikowym krześle i przypomniałem sobie nagle pozycję, którą potrzebowałem, żeby zakończyć męki. Ale gdzie ją widziałem? Prawie czułem zapach, i to zmysł zapachu sprowadził wspomnienie lokalizacji dzieła. Wepchnąłem swojej notatki do worka, ułożyłem stos wypożyczeń na wózku do zwrotu i pośpiesznie wyszedłem z biblioteki. Późno w tym okresie jesieni, późno tego dnia, główny budynek Uniwersytetu, naprzeciwko mnie na tym samym wzniesieniu co wysoka i nowoczesna biblioteka, wyłaniał się ciemny niczym gotycki pałac wobec zachodzącego słońca. Pod tym samym niebem, nagie drzewa stały niczym preparaty zakończeń nerwowych na szkiełku pokrytym jodyną. Przeszedłem ulicę i poszedłem dookoła gmachu i potem na dół do Wydziału Zoologii, granitowego i szklanego pomnika lat trzydziestych. Wewnątrz: terakota na podłodze, ściany w kafelkach i ciężkie balustrady, i ten zapach, który przypomniał, zmieszane w przekonujące tchnieniem zapachy akwarium słonowodne, szczurze i królicze odchody, środek dezynfekujący oraz woskowa pasta do podłogi. Dozorca palił w swoim kantorku, rozpoznał mnie jednym niezaciekawionym spojrzeniem. Kiwnąłem głową, odwróciłem się i wszedłem po schodach z piaskowca. Na pierwszym półpiętrze portret Darwina wisiał nad drzwiami do sali wykładowej. Pod oknem leżał szklany pojemnik zawierający przykurzony plastikowy model Architeuthys[7], jego dwumetrowe macki wyciągnięte nad namalowaną zdobyczą. Skala tego modelu nie była określona. Na szczycie schodów, naprzeciw wejścia do biblioteki, stała kolejna szklana skrzynka z szkieletem egzemplarza Canis Dirus[8] z Rancho La Brea. Gdy przechodziłem, cienie i błyski zębów wilka wyglądały jakby warczał.

Wewnątrz, biblioteka wydziałowa była pusta, wysokie okna wpuszczały ostatnie promienie słońca. Wielki stół, który zajmował większość miejsca pachniał woskiem pszczelim, ukrywając mniej zdrowe nuty książek, które były ustawione wzdłuż ścian. To tutaj przejrzałem odrzucony artykuł Schroedingera o nerwach, tutaj rozkoszowałem się przepiękną prozą D'Arcy Thomsona, wylewną, ekstatyczną precyzją *O Rozwoju i Formie*, tutaj bardziej produktywnie, zginałem się, aż moje oczy łzawiły nad Mayr, Simpsonem i Dobzhanskym. Ten ostatni, wydaje mi się, był pierwszym, który sprawił, że spojrzałem, z dreszczem, na książkę, którą teraz szukałem.

Tutaj była, czarna i gruba jak Biblia, jej oprawa krzepka, strony żółknące, ale zdrowe, jak delikatny welin. *Sytuacja w Biologii: Konferencja Leninowskiej Akademii Nauk Gospodarstwa Wiejskiego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, 31 Czerwiec - 7 Sierpień 1948 roku, Raport Stenograficzny*. Ta

5 oryg.The Case of the Midwife Toad
6 https://en.wikipedia.org/wiki/Lyall_Watson
7 https://pl.wikipedia.org/wiki/Ka%C5%82amarnica_olbrzymia
8 https://pl.wikipedia.org/wiki/Canis_dirus

dosłowna relacja jest jedną z najbardziej złowrogich w historii nauki. Dokumentuje konferencję na której chłop, szarlatan Łysenko, który twierdził, że budowa genetyczna organizmu może zostać zmieniona przez wpływ środowiska, pokonał tych ze swoich wrogów, który ciągle ujmowali się za genetyką mendlowską. Odbudowa genetyki w Związku Radzieckim zajęła dekady.

Wziąłem tom na stół, usiadłem i skopiowałem do notatnika niesławną, radosną uwagę Łysenki z końca konferencji: "Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego zapoznał się z moim raportem i go zaakceptował.", oraz wybór z wybuchu pośpiesznych odwołań-ogłoszeń, większość, wyparcia się dorobku całego życia, które potem nastąpiły i poprzedziły zamykające głosowanie dzięki Stalinowi. Byłem zadowolony ze znalezienia, niesprawiedliwe może, czegoś, co dalej kalało dziedzictwo Lamarcka. Jednocześnie czułem impuls, by umyć ręce. Było coś niepojętego w istnieniu tej książki, czy była to naiwność, czy arogancja, która sprawiła, że wydawcy zdradzili tak bezwstydny pokaz politycznej władzy nad nauką? Puste zwycięstwo szarlatana było czymś, co powinno odbywać się w ciemnościach, a nie świętować w raporcie pokonferencyjnym.

Ale dość. Gdy wstałem, żeby odłożyć książkę na półkę, otworzyłem ją leniwie na pierwszej stronie i zauważyłem dziwną rzecz. Naklejka ogłaszająca, że jest to własność Wydziału, pokrywała dedykację ręcznie wypisaną szerokim, czarnym atramentem, która wychodziła poza zamazanie ekslibrisem. Rozpoznałem w wystających literach cyrylicę. Zaciekawiony, podniosłem książkę do światła i próbowałem przeczytać przez stronę, ale papier był zbyt gruby.

Książka była tylko dla przypisów. Zasady były jasne. Byłem sam w bibliotece. Włożyłem książkę do torby i zaniosłem ją do swojej stancji. Tam, przy pomocy elektrycznego czajnika na chwiejącym się stole, odparowałem ekslibris. Wówczas, posiłkując się zniszczonym egzemplarzem podręcznka języka rosyjskiego z drugiej ręki, odszyfrowałem dedykację. Oryginał rosyjski już dawno wyblakł w mojej pamięci. Tłumaczenie pozostaje niezatarte:

> Mojemu drogiemu przyjacielowi Dr-owi Dav. R. Walker,
> na pamiątkę naszych starań,
> z wyrazami szacunku
> Akademik T.D. Łysenko

Uczucie, które to we mnie wzbudziło, może być wyimaginowane. Drżałem, jak gdyby coś potwornego wyciągnęło lepką mackę z ciemności swego leża i dotknęło mojego karku. Jeżeli książka byłaby dedykowana innemu starszemu profesorowi, może byłbym mniej zszokowany. Wielu z nich obnosiło się ze swoimi liberalnymi poglądami i napomykało o dawnym radykalizmie, przy tych rzadkich okazjach, gdy polityka była przedmiotem dyskusji, ale Walker był prawdziwym konserwatystą najczystszej wody, tak samo jak matematycznie surowym darwinistą.

Następnego dnia przeszukałem antykwariaty w dzielnicy uniwersyteckiej. Miasto miało długą, choć teraz miłosiernie zanikającą, "czerwoną" tradycję. Oczywiście, znalazłem rozpadające się broszury i podejrzane gazety

potwierdzające tradycję z okresu sprawy Łysenki. W nich znalazłem artykuły broniące poglądów Łysenki. Autorzy niektórych, tłumacze innych, różnie się podpisywali jako: DRW, Dr D.R. Walker oraz (z proletariacką zuchwałością) Dave Walker. Nie było cienia wątpliwości, mój poważany profesor był w młodości łysenkistą.

Z pewną złośliwością (wybaczalną w świetle mojego szoku i konsternacji), włączyłem te artykuły do bibliografii gdy przepisywałem esej, który wręczyłem mojemu nauczycielowy, Dr F....... Minął tydzień, nim otrzymałem wezwanie do pokoju profesora Walkera.

2. Alkohol, tytoń i promieniowanie ultrafioletowe.

Profesor emeritus był, jak sugeruje tytuł, prawie na emeryturze. Nie brał udziału w administracji i poświęcał swoje sporadyczne wizyty w Wydziale wygłaszaniu błyskotliwych, ale znanych wykładów, a także na przekładaniu odbitek artykułów ze swojego bardziej produktywnego okresu, a także chaotycznym badaniom anatomii i związków jurajskiego krokodyla morskiego. Jego dziedziną była paleontologia. W czasach świetności prowadził ekspedycje na Kalahari i Gobi. Walczył w czasie Drugiej Wojny Światowej. W niektórych notkach biograficznych zauważyłem stopień porucznika, ale brak odniesienia do rodzaju wojsk, w których był osiągnięty, kwestia, o których plotka nie była dyskretna.

Biuro profesora znajdowało się na końcu jednego z długich korytarzy na drugim piętrze. Kurz, pajęczyny i statystycznie znacząca próbka wysuszonych bezkręgowców oskarżały panele z mlecznego szkła w drzwiach. Zapukałem, strącając martwego pająka i kilka stonóg.

- Wejść!

Gdy wszedłem, profesor wstał zza biurka i pochylił się do przodu. Wysoki i pochyły, bardzo chudy, z zniszczoną skórą, zapadłymi policzkami i jasnoszarym klinem brody, wyglądał jak ruina swojej awanturniczej młodości, jakby to powiedzieć, bardziej czwartorzędowo niż kwatermistrzowsko, ale imponująca ruina. Potem uścisnął rękę nad biurkiem, wskazał mi fotel i zasiadł w swoim. Oczyściłem zniszczoną skórę z popiołu z tytoniu i usiadłem. Pokój śmierdział dymem z fajki i powiewem acetonu, który mógł być formaldehydem lub oddechem po whisky. Półki wypełniały ściany, zastawione książkami i skamieniałymi kośćmi. Wielkie zaspy dzienników i odbitek zagracały podłogę. Okno skierowane na szare podwórko budynku przepuszczało zimne światło przez patynę podobną do tego na drzwiach. Świetlówka i lampa na biurku zmniejszała nawet ten efekt światła dziennego.

Walker oparł się o krzesło i pstryknął zapalniczką Zippo nad główką fajki Peterson. Postukał żółtym paznokciem palca wskazującego na plik papierów, w których rozpoznałem bez zaskoczenia mój esej.

- Cóż, Cameron - powiedział z szaroniebieskiej chmury - odrobiłeś pracę domową.

- Dziękuję, proszę pana - powiedziałem.

Dźgnął w moim kierunku cybuchem.

- Nie jesteś w szkole - powiedział. - To nie jest sposób, w jaki jeden dżentelemen zwraca się do drugiego.

- Ok, Walker - powiedziałem, trochę zbyt lekko.

- Nie - mówił dalej - żeby twoja drobna sztuczka była dżentelmeńska. Powinieneś cytować recenzowane artykuły, a nie zgłębiać polityczne satyry i tyrady, które dopadłeś jako głupotki z kogoś młodości. Te bzdury nie są tajne. Gdybyś się mnie zapytał, powiedziałbym Ci o nich, okolicznościach, ma się rozumieć. I wskazałbym Ci późniejsze zrecenzowane artykuły, w których niszczę te bzdury, które twierdziłem, na strzępy. Mógłbyś również to zacytować. To byłoby uprzejme.

- Nie chciałem być niegrzeczny - powiedziałem.

- Zamierzałeś mnie zakłopotać - powiedział. - Czyż nie?

Podrapałem się w głowę, zawstydzony. Moja próba przeprosin zamieniła się w oskarżenie.

- Znalazłem dedykację od Łysenki - powiedziałem.

Walker zakołysał się w fotelu.

- Co?

- Mojemu drogiemu przyjacielowi Dr-owi Dawidowi R. Walkerowi, na pamiątkę wspólnych starań - wbrew mojej woli, słowa wyszły jak szyderstwo.

Walker oparł łokcie na biurku i położył policzek na dłoni, fajka wystająca z żółtych zębów. Patrzył na mnie przez ciąg pyknięć.

- Ach, tak - powiedział w końcu. - Te wspólne starania. Może wzbudziłoby Twoją ciekawość, żeby dowiedzieć, co to było?

- Założyłem, że chodziło o genetykę - powiedziałem.

- Ha! - parsknął Walker. - Jesteś większym głupcem niż ja, Cameron. Co mógłbym zrobić w genetyce?

- Pisał pan o tym - powiedziałem, znów brzmiąc bardziej oskarżająco niż miałem zamiar.

- Popełniłem tandety dla Kwartalnika Współczesnego - powiedział - ale myślę, że byłoby Ci ciężko znaleźć tam cokolwiek oryginalnego na temat genetyki.

- Miałem na myśli - powiedziałem - Pana obronę.

Walker zmrużył oczy.

- Te artykuły były napisane po tym, gdy otrzymałem książkę - powiedział. - Więc nie były tym, za co stary Trofim mnie pamiętał, nie w istocie.

- Więc co to było?

Wyprostował się.

- Najbardziej zatrważające doświadczenie - powiedział. - Takie, które mi ciąży nawet teraz. Jeżeli powiedziałbym Tobie, zaważyłoby to na reszcie Twojego życia. A najdziwniejsze, Cameron, jest to, że nie przysięgałem zachowania tajemnicy. Historia jest tak niewiarygodna jak straszna. Gdybyś ją opowiedział, zniszczyłoby to tylko jakąkolwiek wiarygodność, którą masz. Nie tylko nikt by Ci nie uwierzył, nikt nie uwierzyłby, że ja Ci o tym opowiedziałem. Im bardziej byś nalegał, bardziej piętnował byś się jako kłamca i fantasta pierwszej wody.

- Więc dlaczego miałbym Panu uwierzyć?

Jego pomarszczona skóra i kwadratowe zęby pokazały się w uśmiechu w odpowiedzi, niczym głowa śmierci podświetlona od środka.

- Uwierzysz.

Wzruszyłem ramionami.

- Będziesz chciał zapomnieć - dodał łagodnie. - Możesz wyjść tymi drzwiami i zapomnieć o tym, a ja zapomnę o twoim małym żarcie. Ale jeżeli nie, jeżeli zostaniesz i wysłuchasz mnie, zapewniam Cię, że zadam Ci najbardziej satysfakcjonującą zemstę.

Obróciłem się do niego w krześle.

- Spróbuj, Walker - powiedziałem.

3. Historia Walkera.

Fajka Stalina nie była zapalona, zawsze zły znak. Poskriebyszew, smutny sekretarz Pierwszego Sekratarza, cicho zamknął za mną drzwi. Jedyne źródło światła w długim, zasłoniętym pokoju stało na biurku Stalina. Poza nim, dwie postaci siedziały na wysokich krzesłach. Podwójny błysk okularów był wystarczający, żeby ostrzec mnie, że jedną z tych osób był Beria. Drugą, gdy podchodziłem, zidentyfikowałem natychmiast dzięki ciemnej klapie włosów, pustym policzkom i jasnym oczom fanatyka, Trofim Łysenko. Zrobiło mi się miękko w nogach. Poznałem już wcześniej Stalina, oczywiście, podczas wojny, ale nigdy nie byłem wezwany przed jego oblicze.

Było lato 1947 roku. Tygodniami zdzierałem obcasy w Moskwie, próbując bezskutecznie i zfrustrowany, bez jednoznacznej odpowiedzi, otrzymać pozwolenie na zorganizowanie następnej wyprawy do Gobi. Oczywiście, to nie były najlepsze czasy, dla obywatela brytyjskiego w stolicy Sowietów. (Nie były to najlepsze czasy także dla obywatela sowieckiego, jeżeli o tym pomyśleć). Moja praca jako oficera łącznikowego miała elementy pozytywne i negatywne:

pozytywne, bo miałem znajomości i pewien szacunek, negatywne - postawiły mnie przed podejrzeniem, absurdalnym jak się zdaje, Cameron, bycia szpiegiem. Mogłem, jak wielu innych, udać się prosto z Kremla na Łubiankę.

Stalin wstał, podszedł do mnie, uścisnął rękę szorstko, wskazał mi niższe krzesło, Stalin, notorycznie czuły na temat swojego wzrostu, i wrócił do fotela za biurkiem. Obserwowałem go bacznie, lecz dyskretnie. Schudł. Skórę miał wiotką. Wyglądał na bardziej zmęczonego niż w Jałcie i Teheranie.

- Poruczniku Walker - zaczął. I przerwał, zaszczycił mnie żółtookim, żółtozębnym uśmiechem, i poprawił się. - Doktorze Walker. Bądźcie pewni, że nie byliście tutaj zaproszeni jako oficer brytyjski.

Jego spojrzenie na Beria powiedziało mi wszystko co powinienem wiedzieć na temat mojej pozycji w tym zakresie. Stalin possał swoją fajkę, zmarszczył brwi, i wygrzebał paczkę Dunhilli z bluzy. Ku mojemu zdziwieniu zaproponował paczkę przez biurko. Wziąłem jednego, palcami, które ledwo drżały. Zapałka rozbłysła pomiędzy nami, i przez moment, w tym świetle, ujrzałem, że Stalin był przestraszony. Był bardziej przestraszony niż ja, i ta myśl mnie przeraziła. Usiadłem z powrotem i zaciągnąłem się mocno.

- Potrzebujemy waszej pomocy, Doktorze Walker. W charakterze naukowym.

Zawahałem się, niepewny, jak się do niego zwracać. Nie był moim towarzyszem, a nazywać go jego ostatnim tytułem "Generalissiomo" brzmiało czołobitnie. Pomogło mi moje małe doświadczenie w dyplomacji.

- Zaskoczył mnie Pan, Panie Marszałku - powiedziałem. - Moi radzieccy koledzy są bardzo zdolni.

Łysenko odchrząknął, ale to Beria się odezwał.

- Powiedzmy, są problemy.

- To nie jest - powiedział Stalin - kwestia zdolności. Jest dla nas ważne, żeby zadanie, które chcielibyśmy Wam powierzyć, było wykonane przez brytyjskiego naukowca, który jest . . . byłym . . . oficerem brytyjski, który ma, powiedzmy, pewne znajomości w pewnych miejscach, i który nie jest, znów, powiedzmy, kimś, w przyszłości, byłby podejrzany o związki z organami bezpieczeństwa Sowietów - spojrzenie z boku na Berię.

- Będę dosadny, Panie Marszałku - powiedziałem. - Chce Pan mnie, ponieważ jestem naukowcem i ponieważ myśli Pan, że mogę być agentem brytyjskim i ponieważ jest Pan pewien, że nie jestem jednym z was?

- Dość pewny - powiedział Stalin z mrocznym chichotem.

Kątem oka zauważyłem, że Beria wzdrygnął się. Byłem zaskoczony, że Stalin napomknął tak szeroko o spenetrowanie brytyjskiego wywiadu przez Sowietów, jak również o braku zaufania do Berii. Jeżeli przeżyłbym do powrotu do Anglii, z pewnością złożyłbym raport temu facetowi, który, według plotki Whitehall, miał za zadanie powstrzymywać rzeczy tego typu. Jak on się

nazywał? O, tak, Philby[9]. Chwilę później zrozumiałem, że, bardzo prawdopodobnie, Stalin i Beria zfałszowali całą tę oczywistą nieostrożność pomiędzy nimi, może, żeby sprawdzić moją reakcję, lub że moje późniejsze zgłoszenie mogłoby okrężnie wspomóc ich złowieszcze działania. Ale coraz więcej pytań pojawiało mi się w głowie.

- Przecież jestem paleontologiem! - powiedziałem. - Co takiego mogłoby być w tej dziedzinie, co mogłoby być przedmiotem zainteresowanie służb wywiadowczych?

- Dobre pytanie - odparł Stalin. - Intrygujące, nieprawdaż? Widzę, że jesteście zainteresowani. Wszytko, co mogę powiedzieć w tej chwili, Doktorze Walker, że macie jeden sposób znaleźć odpowiedź. Jeżeli wybierzecie niepomaganie, to muszę powiedzieć, z żalem, że musicie wylecieć następnym lotem do Londynu. Powrót może być już niemożliwy, podobnie wykopywanie kości dinozaurów w Mongolii, co zdaje się fascynuje was tak bardzo. Jeżeli wybierzecie pomóc nam, nie tylko znajdziecie odpowiedź na swoje pytanie, ale możliwości dalszej współpracy z naszymi naukowcami mogą, jak możecie sobie wyobrażać, otworzyć.

Groźba, łaskawie mała, jak to wyglądałoby dla niektórych, bywała straszna dla mnie, oferta kusząca, ale żadne z tych nie było potrzebne. W istocie byłem zaintrygowany.

- Zrobię to - powiedziałem.

- Dobrze - powiedział Stalin. - Teraz przekażę was w zdolne ręce . . . -

zrobił przerwę wystarczająco długą, uderzenie serca, żeby mnie przestraszyć.

- . . . waszego szacownego kolegi, Trofima Denisowicza.

Ale, jak gdyby w ramach odszkodowania za małe, momenty zabawiania się moim strachem, a może z tego z powodu tej sentymentalnej żyłki, tak często charakteryzującej ten typ, jego uściskowi ręki na pożeganie towarzyszyło chwilowe zamglenie jego żółtych oczu i poufny szept, najdziwniejsza rzecz, którą usłyszałem od niego:

- Bóg z wami.

Korytarze, straże, schody, podwórzec, więcej straży, potem Plac Czerwony i ulice. Trofim szedł szybko koło mnie, ręce wciśnięte w kieszenie kurtki, głowa opuszczona, pięćdziesiąt kilka metrów za nami, kroczył człowiek z organów bezpieczeństwa państwowego. Kobiety o mięsistych twarzach w chustach mieszały beton łopatami, męczyły się z taczkami, dostawały polecenia wrzaskiem od gburowatych brygadzistów. Nad nimi, na nagim rusztowaniu budynku, potężne czarno-białe transparenty powiewały, obszerne powiększenie portretu tuszem twarzy, którą widziałem minuty temu. Wydawało się, że nie ma powiązania, najmniejszego podobieństwa do starego mężczyzny ze śladami po ospie. Przypomniałem sobie coś, co Stalin, jak

9 https://pl.wikipedia.org/wiki/Kim_Philby

mówiono, warknął na swojego pijanego, próżnego syna, który przyznał: Jednak, ja też jestem Stalinem. Odpowiedział:

- Nie jesteś Stalinem! Ja nie jestem Stalinem! Stalin to sztandar . . .

W tej chwili myślałem, że dosłownie wiedziałem, co ma na myśli.

- Cóż, Davidzie Rigley - powiedział Łysenko (prawdopodobnie z powodu nieporozumienia, że moje drugie imię jest patronimikiem) - towarzysze przewodniczący posłali nas do niezłego bałaganu.

- Wie Pan, o co tutaj chodzi?

- Wiem, wielka szkoda. Możemy być przeklęci. Przejdźmy się. To najbezpieczniejszy sposób na rozmowę.

- Ale z pewnością ...

- Nic nie jest pewne tutaj. Musi Pan to wiedzieć. Nawet bezpośredni rozkaz Szefa może nie być wystarczający do ochrony nas od służb. Beria buduje bombę atomową w tundrze. Skąd bierze siłę roboczą, może Pan zgadywać. W tym inżynierów i naukowców. W jednej z lokalizacji, znaleźli coś, co . . . chcą, żebyśmy obejrzeli.

- Bomby atomowe? Z całym szacunkiem, Trofimie Denisowiczu ...

- Nie będę się z Panem kłócił. Ale co ludzie . . . Berii znaleźli jest jeszcze straszliwsze niż bomba atomowa. Zgodziliśmy się to zbadać, Pan i ja.

- Och - powiedziałem. - Więc na to się zgodziłem. Dziękuję za wyjaśnienie.

Sarkazm nie działał na niego.

- Proszę uprzejmie, Dawidzie Rigley - zatrzymał się na skrzyżowaniu. Czarny samochód podjechał z boku. Machnął ręką na boczne drzwi. Cofnąłem się.

- To mój samochód - powiedział miękko. - Zabierze nas na moją farmę. Jutro zabierze nas na lotnisko.

Prywatna farma Łysenki, że tak powiem, na wzgórzach Gorki Leninskije na południe od Moskwy były oczywiście prezentacją i bardziej świadectwiem entuzjazmu Łysenki niż jego dyscypliny, ale muszę przyznać, że było to bardzo gościnne miejsce, i że spędziłem tam bardzo dość przyjemne popołudnie oglądając niezwykłe doświadczenia i bardzo przyjemny wieczór, zjadając niektóre z wyników. Tej nocy, Trofim i ja mogliśmy udawać, że nie martwimy się o świat, i w tej symulacji, byłem niczym szarlatan.

Następnego ranka polecieliśmy na wschód i północ. To nie był lot cywilny. Reputacja Aeroflotu była zasłużenie zła, ale to w siłach zbrojnych piloci Aeroflotu uczyli się kunsztu. Ten lot transportowcem LI-2 był grzecznością Armii. Nawet teraz, na wspomnienie tego lotu występują mi zimne poty. Więc wybaczy mi Pan, że ją pominę. Wystarczy powiedzieć, że wylądowaliśmy na

oddalonym lotnisku wojskowym, aby zatankować paliwo i zmienić pilotów, a potem kontynuowaliśmy całą noc, podczas której myślę, że zasnąłem w ciasnym fotelu z czystej rozpaczy. Wylądowaliśmy, ślizgając się boki w stromej spirali, jak gdyby w trakcie ostrzału, tuż po wschodzie słońca następnego ranka na wyboistym, nieutwardzonym pasie w środku płaskiej, zielonej równiny. Buda była budynkiem lotniska, przed którym stał komitet powitalny złożony z tuzina czy coś osób w mundurach. Przez małe okienko, gdy samolot warkotał zatrzymując się, ujrzałem jakieś odległe budowle, wieżę na szczudłach, niskie, długie baraki, windę kopalni i wielkie stosy odpadów. Mogła tu być nawet kolej. Nie jestem pewien.

Trofim i ja wyprostowaliśmy plecy, przetarliśmy oczy i przygarbieni poszliśmy do włazu. Zeskoczyłem z wysokości metra. Trofim usiadł, wystawił długie nogi i wysunął się ostrożniej. Powietrze było czyste i świeże, niewiarygodne po Moskwie i całkiem ciepłe. Jeden z mężczyzn odłączył się od linii i pośpieszył do nas. Był krępy, niebieskie policzki, z wyrazem przymusowej jowialności na jego pyzatej, głęboko porytej twarzy. Miał czapkę z ciemnoniebieskim paskiem służb bezpieczeństwa. Potrząsając dłońmi, przedstawił się jako pułkownik Wiktor A. Marczenko. Zaprowadził nas do chaty, gdzie dał nam po szklance herbaty i kawałku czarnego żytniego chleba, z towarzyszącą rozmową bez podania żadnej informacji, podczas gdy jego ludzie pozostali na baczność na zewnątrz, nie palili, ani nie poruszali się, potem zabrał nas na tył chaty do ciężarówki Studebackera. Ku mojemu zaskoczeniu, pułkownik zajął miejsce kierowcy. Trofim i ja wcisnęliśmy się obok. Pozostała część oddziału niebezpiecznie stłoczyła się z tyłu.

Kojarzymy daleką północ Rosji ze śniegiem i lodem. Jej krótkie lato jest prawie przyjemne, oprócz komarów i osuwisk. Drobne kwiatki pokrywały tundrę. Jej płaski wygląd jest zwodniczy, ukrywa wzgórki i doły krajobrazu. Ciężarówka jechała w dół i w górę, opony mieliły niestabilną glebę. Na szczycie jednego z kolejnych pagórków odległe budynki były znacznie bliżej. Wczesne poranne słońce błyszczało na długich poziomych liniach na wprost, drug kolczasty, bez wątpienia, i jeszce nie zardzewiały. Stało się oczywiste, jak wcześniej podejrzewałem, że jest to obóz pracy. Spojrzałem na Łysenkę. Patrzył wprost przed siebie, pot perlił się na jego twarzy. Oparłem nogi o podłogę i złapałem mocno kolana.

Na szczycie wzniesienia ciężarówka się zatrzymała. Pułkownik kiwnął głową i zrobiłe nieporadny gest dłonią. Trofim i ja patrzyliśmy zaskoczeni na to co leżało przed nami. Na dnie spadku, kilka metrów trawiastym stokiem od ciężarówki, ziemia wydawała się zniknąć. Dziura miała jakieś piętnaście metrów w poprzek i cztery wgłąb. Dziesiątki brązowych ciał, wykrzywionych i kościotrupich, wystawało pod różnymi kątami z poszarpanej czarnej ziemi. Na dole dziury, ostry metaliczny punkt stał niczym wierzchołek piramidy lub róg potężnego sześcianu. Ani drobina brudu mąciła lustrzanego połysku błękitnie zabarwionej, srebrnej powierzchni.

Pierwsza moja myśl była taka, że jakieś eksperymentalne urządzenie, może jedna z bomb jądrowych Berii, rozbiło się tutaj pośród mieszkańców obozów, zabijających ich i częściowo grzebiąc. Druga moja myśl była taka, że upadek odkrył masowy grub wcześniejszej partii podobnie nieszczęsnych. Zachowałem te myśli dla siebie i wysiadłem z kabiny, a za mną Łysenko. Pułkownik

wyskoczył z drugiej strony i wyszczekał rozkaz. W ciągu sekund jego ludzie sformowali szeroko rozstawiony kordon dookoła dziury, każdy plecami do niej, z kałasznikowem w ręku.

- Przejdźmy się naokoło - powiedział Marczenko.

Poszliśmy, trzymając się kilka kroków od krawędzi okrągłego blizny. Obiekt wystawał jakieś trzy metry od każdej krawędzi. Łysenko zatrzymał się i ruszył do skraju. Poszedłem także, przyjrzeć się bacznie ciału tuż poniżej naszych stóp. Głowa, tułów i jedno wyciągnięte ramię wystawało z ziemi. Twarda skóra, pęczek włosów, puste oczodoły i bezustny uśmiech.

- Efekt . . . jeżowszczyzny[10] - spytałem, odnosząc się do masakr dekadę temu.

Trofim pochylił się i wskazał.

- Wątpię, - odparł sucho - by umierali z brązowymi mieczami w dłoniach.

Przykucnąłem i zbadałem ciało bliżej. Druga ręka, prawie ukryta przez ziemię, trzymała rękojeść, która rzeczywiście, pomiędzy nitkami zgniłych frędzli, miała mosiężny kolor. Spojrzałem ponownie na to, co w szoku przeoczyłem, kawałki ostrzy, skrawki zbroi, skórzane pasy i szpilki, tu i tam naszyjniki z matowego metalu, który mógłby być cyną.

- Więc kim oni są? - spytałem.

Łysenko wzruszył ramionami.

- Tatarzy, Mongołowie . . .

Jego wiedza historyczna była bardziej wątpliwa niż jego wiedza biologiczna. Te ludy nigdy nie migrowały tak daleko na północ, a ludy epoki brązu nie byli tutejsi. Tożsamość i pochodzenie martwych barbarzyńców zastanawia mnie do dnia dzisiejszego.

Po drugiej stronie jamy, stronie, która była skierowana do obozu, sprawy miały się zupełnie inaczej. Brakowało górnych dwóch metry tamtej strony piramidy, jak gdyby była to otwarty róg hipotetycznego sześcianu. A ciała, naliczyłem dziesięć, rozrzucone przed nią, należały zdecydowanie do robotników obozu: chudzi ludzie w cienkich ubraniach, pomiędzy nimi leżały łopaty. Ciała wyglądały całkiem świeżo. Tylko ich straszliwie zaciśnięte miny wyglądały tak jak u tych innych, bardziej starożytnych.

- Co to jest? - spytałem Łysenki. - Jedna z maszyn piekielnych Berii?

Spojrzał na mnie rozbawionym, zniecierpliwiony.

- Pan nas przecenia. - odpowiedział. - To nie jest produkt naszej technologii. Ani, zaryzykuję sugestię, żaden z waszych.

10 https://pl.wikipedia.org/wiki/Wielki_terror_(ZSRR)

- Więc czyjej?

- Jeżeli to nie pochodzi od jakiejś zaginionej starożytnej cywilizacji, to musi być spoza tego świata.

Patrzyliśmy przez chwilę na czarny pusty trójkąt, potem obeszliśmy do końca obwód jamy i wróciliśmy do Marczenki, który nadal stał przed ciężarówką.

- Co tutaj się stało? - zapytał Łysenko.

Marczenko wskazał na obóz, a potem na ziemię.

- To jest obóz górniczy - powiedział. - Korytarze kopalni rozściągają się pod naszymi stopami. Kilka dni temu, zdarzył się zawał. W wyniku tego, zapadła się ziemia i odkryła obiekt i zabitych wojowników. Mały oddział więźniów został wysłany do jamy, żeby sprawdzić i wykopać ciała i artefakty. Szczerze, podejrzewam, że zostali wysłani, żeby wydobyć kosztowności, złoto i inne. Jeden z nich, z powodów, których możemy się domyślać, próbował wejść przez szczelinę do obiektu. Chwilę potem, wszyscy byli martwi.

- Powiedzcie nam prosto - powiedział Łysenko. - Czy macie na myśli, że zostali zastrzeleni przez strażników?

Pułkownik potrząsnął głową.

- Mogliby być - odparł - za niewykonanie rozkazu. Ale jak to się zdarza, nie byli. Coś z obiektu zabiło ich bez pozostawienia śladu. Może gaz trujący, nie wiem. To jest śledztwo dla was.

Jego opowieść była nieprawdopodobna, lub co najmniej niepełna, ale nie było czasu, żeby o tym dyskutować.

- Na litość boską, człowieku! - krzyknąłem. - I sami się zabili?

Marczenko obnażył złoty siekacz.

- To jest problem, tak? Wy jesteście naukowcami. Rozwiążcie go.

Ta beztroska na chwilę nas rozwścieczyła, ale przystąpiliśmy do prac. Godzinę, albo dwie, później, po tym jak ciężarówka wróciła z obozu z prostym wyposażeniem, które zażądaliśmy, Łysenko i ja staliśmy w jamie kilka metrów od czarnej szczeliny. Za nami ciężarówka dławiła się, jej silnik zasilał reflektor wycelowany w ciemny trójkąt. Trofim sterował długą tyczką, na końcu którego było przymocowane jedno z lusterek ciężarówki. Stałem przed nim, tyczka oparta o moje ramię i patrzyłem na lusterko przez lornetkę zabraną (bez wątpienia) straży obozu. Nic się nie stało, gdy nasz surowy aparat zawisł centymetry nad ciemną granicą. Poruszaliśmy nim, Trofim obracał lusterkiem w te i wewte stronę. Powiększony obraz lustra wypełniał większość część obrazu w lornetce.

- Co Pan widzi? - zapytał Łysenko.

- Nic - odparłem. - Cóż, połączenie krawędzi. Tak daleko, jak tylko mogę zobaczyć. Pod nimi, jest tylko ciemność. Jest bardzo głęboka.

Cofnęliśmy się i wygramoliliśmy.

- Jak wielka jest ta rzecz ? - zapytałem Marczenkę.

Poruszył się i spojrzał na boki, potem wskazał palcem w dół.

- Podobny wierzchołek - powiedział - wystaje w korytarzu pod nami.

- Jak głęboko pod nami?

Jego język poruszał się przez chwilę pomiędzy wargami.

- Około stu metrów.

- Jeżeli to sześcian - powiedziałem - czterysta stóp po przekątnej, mój Boże!

- Istnieją przesłanki, że to jest sześcian - powiedział Marczenko.

- Zabierzcie nas do dolnego wierzchołka - powiedział Łysenko.

- Zgadzacie się? - zapytał się mnie Marczenko.

- Tak - powiedziałem.

Nad bramą wisiała tablica:

"Praca w ZSRR jest kwestią honoru i chwały" Z tego co widzieliśmy, gdy wiozła nas ciężarówka, nikt w obozie nie szukał tego dnia obozu i chwały. Strażnicy stali przy każdych drzwiach baraków. Trzech wychudzonych mężczyzn zostało wezwanych do obsługi dźwigu. Oddział Marczenko zajął pozycje naokoło wejścia do kopalni. Łysenko, Marczenko i ja, z jednym z sierżantów Marczenki niosącym tyczkę i lustro, zjechaliśmy szybem w windzie do korytarza. Blenda uranowa błyszczała w świetle naszych lamp. Szliśmy przez, jak się wydawało, kilka godzin, ale według mojego zegarka było to tylko pięćdziesiąt pięć minut. Zawał został uprzątnięty. Dolny wierzchołek był skierowany do dołu, jak ostrze sztyletu, jego czubek kilka cali nad podłogą. Jego odkryta powierzchnia nie była czarna, ale jasna. Rzucała niebieskie światło po całej grocie.

- Cóż - powiedział Łysenko z wymuszonym śmiechem - to wygląda bardziej obiecująco.

Tym razem to ja podchodziłem z tyczką i obracałem lustrem, Łysenko patrzył przez Zeissa. Zobaczyłem odbicie błysku, jak gdyby coś poruszyło się wewnątrz obiektu. Niebieskie światło, dziwnie ograniczone, dziwnie wolne, jak jakiś świecący płyn, polizało drewnianą tyczkę. Gdybym miał pół sekundy ostrzeżenia, rzuciłbym ją. Ale gdy lodowate światło płynęło po moich dłoniach, moje palce zacisnęłey się na drewnie. Poczułem parcie do przodu. Nie mogłem puścić. Moje całe ciało wygięło się, jak przy wstrząsie elektrycznym, i tak samo bolało. Moje stopy podniosły się z ziemi, a moje nogi wyrzuciły się za

mnie. W tym samym momencie poczułem, że lecę do przodu jak wiedźma na miotle. Z nagłym zgięciem, które prawie złamało mi kręgosłup, zostałem szarpnięty przez odwrócony trójkątny otwór i skierowany do góry w niebieską przestrzeń. Przestrzeń nie była pusta. Wielkie bloki niebieskiego, wyraźnego, ale interesująco niecielesnego, latały dookoła mnie. Leciałem do góry, a potem się zatrzymałem. Widziałem, daleko nade mną, mały trójkąt światła, w równie widocznym kontraście do ciemności pod nią i nienaturalnego światła dookoła mnie. Oprócz moich rąk, ciągle przywarłych do tyczki, moje mięśnie wróciły do mojej władzy. Wisiałem tam, patrząc, usta otwarta, poruszając się jak ryba na haczyku. Moje gardło było suche, mój oddech nierówny. Zrozumiałem, że krzyczałem. Echa moich krzyków brzmiały przez sekundę lub dwie w obszernej przestrzeni.

Przed moimi oczami, jakieś kwadratowe kształy przyjęły nowy układ, karykatura kubistyczna ludzkiej twarzy, w każdym szczególe, aż do zębów. Oczy jak koła zębate, uszy jak trumny. Skądś pojawiło się wrażenie, nie, przekonanie, że ta reprezentacja miała być uspokajająca. Nie była.

Co zdarzyło się później, trudo opisać, jak na wpół pamiętany sen, dźwięki obrazów, smaki słów. Widziałem zamarzający kosmos, płonące słońca, nieskończone ciemności z punktami gwiazd, które nie były wieczne, gwiazd, które mogę przetrwać. Słyszałem starcie ogromnej wojny, odległej od przyczyn, nieskończonej w perspektywie i bezcelowej w problemie. Nie byla to wojna o ideały, ale idealna wojna, Platon mógłby ją nazwać formą wojny. Nasze wojny korzyści i ideologii mogą jedynie dać delikatny jej przedsmak. Ale i są przedsmakiem. Zrozumiałem, jak, nie wiem, że dołączając do takiej wojny jest tym, co przyszłość skrywa dla naszych potomków i dla wszystkich inteligentnych gatunków. Wojna jest prowadzona przez maszyny, które przenoszą w sobie wspomnienia i są same jedynie pomnikami ras, które je zbudowały i które pochłonęły. To wojna nieskończonych strat, nieskończonych ran oraz śmierci, po której, obojętnie jakim okresie czasu, następuje wskrzeszenie i ponowne pogrążenie w niekończącym się zamęcie. Tylko śmierć kosmosu może zwolnić walczących i tylko w takim końcu wojna będzie miała znaczenie, wtedy tylko przez moment, infinitezymalną chwilę zrozumienia zwycięstwa, które jest ostateczne, ponieważ poprzedza, przez nieskończenie małą chwilę, koniec wszystkiego, zwycięstwo czyste, niepokalane, zwycięstwo dla zwycięstwa, zwycięstwo ostatniego umysłu.

Ta piekielna wizja została mi pokazana jako zachęta! Tak, Cameron, otrzymałem rzadki i nie do pomyślenia przywilej dołączenia do wojowników w tym konflikcie, który nawet teraz wstrząsa kosmosem, dołączenia wieki lub tysiąclecia, zanim ludzka rasa sama wzniesie się do tego wyzwania. Mógłbym dołączyć jako umysł, moje wzorce umysłu skopiowane i przeniesione poprzez kosmos do jakiegoś przerażające wcielenia, moje obecne ciało wyrzucene jako niepotrzebne. A gdybym odmówił, zostałbym odrzucony z pogardą. Obraz, który się pojawił, czy z mojego umysłu, czy tego dziwnego widoku przede mną, pokazywał rozrzucone ciała w jamie.

Wykrzyczałem odmowę, każdym włóknem mojego istnienia, bez niezależnie od konsekwencji. Śmierć w istocie była nieskończenie lepsza od tej nieskończonej wojny.

Zostałem pociągnięty do góry tak silnie, że prawie wyrwało mi ramiona. Niebieskie światło przygasło, ciemność mnie okryła i wtedy wyłonił się niebieski trójkąt. Uderzyłem w niego i upadłem z wielką siłą, twarzą w błoto. Wiatr mnie ocucił. Dyszałem, krztusiłem się i podniosłem moją bolącą głowę, żeby spojrzeć w niewidzące oczy jednego z niedawnych zmarłych, robotników obozu. Wrzasnąłem, stanąłem i wydrapałem się z jamy. Przez minutę stałem sam.

Wtedy kolejne ciało wypadło z ciała i zachowało się dokładnie tak jak ja, łącznie z krzykiem. Ale Łysenko mógł skorzystać z mojej wyciągniętej dłoni gdy próbował się wydostać.

- Był Pan wciągnięty razem ze mną? - zapytałem.

Łysenko potrząsnął głową.

- Pośpieszyłem, że pana wyciągnąć.

- Jest pan odważny - powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

- Nie na tyle odważny, z tego co tam znalazłem.

- Widział Pan? - spytałem.

- Tak - odpowiedział. Wzdrygnął. - Przed taką Walhallą, wolałbym wybrać piekło księży.

- To, cośmy zobaczyli - powiedziałem - jest całkowicie zgodne z materializmem. To jest w tym przerażające.

Łysenko złapał mnie za klapy.

- Nie, nie materializm! Mechanizm! Człowiek musi walczyć z tym!

- Walczyć . . . bez końca?

Zacisnął usta. Odwrócił się.

-Marczenko nas okłamał - powiedział.

- Co?

Łysenko kiwnął głową w stronę najbliższych ciał.

- Jego opowieść o tym, ci ludzie nie byli wysłanie do tej jamy i zabici przez coś wyłaniającego się z tego . . . urządzenia. Ci ludzie byli górnikami. Weszli dokładnie tak jak my, z dołu.

- Więc dlaczego są martwi, a my żyjemy? - gdy tylko zadałem pytanie, znałem odpowiedź. Tylko ich ciała były martwe. Ich umysły były w drodze, by stać się żywe gdzieś indziej.

- Pamięta Pan wybór, który Panu dano - powiedział Łysenko. - Wybrali inaczej.

- Wybrali tamto, zamiast? - wskazałem kciukiem do tyłu.

- Tak - powiedział Łysenko. - Inne piekło.

Czekaliśmy. Po chwili ciężarówka nadjechała z obozu.

4. Wzorce Opadu

Walker umilkł w wydłużających się cieniach i gęstym dymie.

- I co potem się stało? - spytałem.

Wystukał popiół z fajki.

- Nic - odpowiedział. - Ciężarówka, samolot, Moskwa, Aerofłot, Londyn. Ledwo dotykałem ziemi. Nigdy nie wróciłem.

- Mam na myśli, co się stało z rzeczą, którą znaleźliście?

- Rok, albo dwa lata później, miejsce było wykorzystane do testu jądrowego.

- Nad kopalnią uranu?

- Sądzę, że to była część obiektu. Żeby zwiększyć opad. Ten region jest nadal niedostępny, rozumiesz.

- Skąd Pan wie o tym?

- Powinieneś wiedzieć lepiej - powiedział Walker.

- Więc Stalin miał Pański numer !

Zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Zgadł poprawnie - powiedział. - O Pańskich powiązaniach.

- Och tak. Ale zostawmy to - machnął ręką i zaczął napełniać fajkę. - To nie jest ważne.

- Dlaczego Stalin wysłał potencjalnego agenta nieprzyjaciela i oszusta takiego jak Łysenko? Dlaczego nie jednego z naukowców atomistyki, jak Sacharowa?

- Sacharow i jego koledzy byli już zatrudnieni - odpowiedział Walker. - A co do posyłania mnie i Łysenki . . . często się nad tym zastanawiałem. Podejrzewam,

że mnie wysłał, ponieważ chciał, żeby Brytyjczycy się dowiedzieli. Może chciał, żebyśmy się martwili o gorsze rzeczy niż to, co mógłby zrobić, i w tym samym czasie martwić się, że jego naukowcy mogliby wykorzystać te straszne urządzenie. Łysenko, cóż, był solidny, na swój sposób i do stracenia, w przeciwieństwie do prawdziwych naukowców.

- Dlaczego napisał Pan to co napisał o Łysence?

- Jeden - Walker wykorzystał fajkę, żeby stuknąć w biurko. - Byłem mu wdzięczny. Dwa - uderzył znowu. - Doceniałem szkody, które robił.

- Sowieckiej nauce?

- Tak, i w ogóle nauce - uśmiechnął się. - Byłem tym, co oni nazywali wrogiem postępu. Nadal jestem. Postęp jest postępem ku przyszłości, którą widziałem w tej rzeczy. Niech będzie opóźniona tak długo, jak to możliwe.

- Ale tyle Pan wniósł!

Walker spojrzał dookoła na wypełnione regały.

- W paleontologii. Cudownie bezużyteczna gałąź nauki. Ale możesz mieć rację. Nawet walka przeciw postępowi jest daremna. Dobór naturalny kasuje to. Skasował łysenkizm i usunie moje wysiłki. Proces jest nieuchronny. Nie widzisz tego, Cameron? To nie upadku postępu, niepowodzeń, należy się bać. Tylko postępu. Najbardziej wydajny system wygra na końcu. Najbardziej zaawansowana maszyna. A maszyny, kiedy staną się świadome, staną wobec walki przeciwko innym maszynom, które już tam są w kosmosie. A w tej walce, wszystko, co nie przyczyna się do walki, piękno, wiedza, etyka, zostanie odrzucone lub wyeliminowane. Zostanie tylko czysta wola, wola zwycięstwa i środki do tego celu - westchnął. - Na swój szalony sposób, Łysenko to rozumiał. Była jakaś donkiszotowska szlachetność w jego walce przeciw logice ewolucji, w jego przekonaniu, że człowiek może uczłowieczyć naturę. Nie. Człowiek jest krótką przerwą pomiędzy przedludzkim, a postludzkim. Możemy mieć tylko nadzieję, żeby wydłużyć tę przerwę.

Nie powiedział już nic więcej, prócz tego, że zaproponował ocenę "5++" dla mojego eseju.

Gest był uprzejmy, biorąc pod uwagę jak go sprowokowałem, ale niedużo mi pomógł. Nie zdałem egzaminów rocznych. Latem pracowałem w pobliskim ogrodzie botanicznym, a wieczorami ciężko studiowałem. W ten sposób odrobiłem stracony czas w tych częściach zoologii, które potraktowałem niedbale, i zdałem egzaminy poprawkowe. Ale interesowałem się teorią, która zawsze była fascynująca. Specjalizowałem się na ostatnim roku w genetyce ewolucyjnej, kończąc studia jako jeden z najlepszych na roku.

Nikomu nie opowiedziałem historii Walkera. Nie wierzyłem wtedy i nadal w nią nie wierzę. Upadek Związku Radzieckiego odkrył wiele nowych faktów. Nie było testów nuklearnych w Workucie. Nie istniała kopalnia uranu w miejscu, które można było wywnioskować z historii Walkera. Nie było dowodów, że Łysenko odbywał niewytłumaczone podróże, nawet krótkie, to tego rejonu. Nie

było żadnych plotek o tajemniczym obiekcie odnalezionym przy obozie pracy, nawet jak na ten plotkarski naród. Co do Walkera, jego łysenkizm był tak oryginalny, ("powiedzmy", jak Stalin by to powiedział) jak jego marksizm. Istnieją dowody, z pewnych, a nawet bardziej niezrozumiałych jego artykułów, oraz z pewnych opublikowanych i nieopublikowanych wspomnień, na które się natknąłem, że w latach 1948-1956 był komunistą. Jak to się wiąże z włączeniem go na listę honorową roku 1983 (za zasługi dla nauki), pozostawiam innym do rozwiązania. Walker nie żyje.

Zawdzięczam mu, jednak, zainteresowanie jakie rozwinąłem w relacji pomiędzy darwinowskimi a lamarckistowskimi mechanizmami dziedziczenia. Istnieją, oczywiście, nie w biologii, ale w sztucznych konstrukcjach. Precyzyjnie, prawdopodobieństwo powiązania algorytmów genetycznych z wyuczonym zachowaniem w sieciach neuronowych zasugerowało mi pewne niezmiernie płodne możliwości. Ku zdziwieniu kolegów, wybrałem wówczas nowo powstałe nauki komputerowe jako temat pracy doktorskiej. Znalazłem swoje miejsce i w końcu otrzymałem stanowisko na Uniwersytecie w E........., na Wydziale Sztucznej Inteligencji.

Praca postępuje powoli, z wieloma niepowodzeniami i porażkami, ale Postęp nadchodzi.